

W domu nad rozlewiskiem zmieniłam swoje życie

— Tu zbankrutowałam, tu napisałam swoją pierwszą w życiu powieść i wygrałam — mówi Małgorzata Kalicińska z Warszawy, autorka książki „Dom nad rozlewiskiem”. Akcja powieści toczy się w okolicach Pasymia. W maju rozpoczną się zdjęcia do serialu pod tym samym tytułem — najpierw w Warszawie, potem na Mazurach. Autorka opowiada nam o tym, jak nad jeziorami zmieniło się jej życie.



Małgorzata Kalicińska: — Teraz mieszkam w Łomiankach, dochodzę do siebie po zmianach, jakie zaszły w moim życiu. Chcę kupić swój prawdziwy dom nad rozlewiskiem. Jednak to nie będą Mazury, ale okolice Warszawy. Dzieci nie chcą mnie puścić już tak daleko. Fot. Archiwum Małgorzaty Kalicińskiej



Beata Brokowska
b.brokowska@gazetaolsztynska.pl

— **Pani pierwsza w życiu książka „Dom nad rozlewiskiem” nie tylko została bestsellerem roku 2006, ale teraz na jej podstawie telewizja Polsat kręci serial.**

— Nawet napisałam scenariusz do tego filmu! Nigdy wcześniej tego nie robiłam, powstawał w ciężkich bólach. Producenci z Polsatu powiedzieli: Siadaj i pisz, dali mi panią do pomocy. Zajęło mi to dużo czasu. Teraz czekam na film.

— **Kiedy pożegnała się Pani z Mazurami?**

— Było to dokładnie dwa lata temu. Wyjeżdżałam z Bud pod Pasymiem 28 kwietnia 2006 roku i od tamtej pory nigdy tam nie byłam. Gdybym wróciła, serce by mi pękło. Rano przed wyjazdem dostałam wiadomość z wydawnictwa, że moja książka jest już w księgarniach. Z tego powodu pożegnanie nie było takie straszne. Wiadomość o książce przyćmiła gorzkość bankrutstwa i klęski.

— **Pokochoła Pani Mazury, ale one Pani nie?**

— Pokochołam Mazury i one też mnie pokochały.

Spędziłam tu pięć lat. Poznałam ten region od najgłębszej strony. Budowałam ośrodek konferencyjny pod Pasymiem, do pracy wynajmowałam ludzi z tych terenów. Byli to pracownicy byłych PGR-ów, którzy — moim zdaniem — żyli z przyzwyczajenia, nie mieli pracy, przyszłości. W latach dziewięćdziesiątych nagle zostali pozostawieni sami sobie. Nie umieli — jak chcieli ekonomiści — wziąć spraw w swoje ręce. Gdy tu przyjechałam, chciałam być wobec nich w porządku. Dawałam im dobre pensje, nie takie głodowe jak inni ludzie, którzy wykorzystywali ich trudną sytuację. Wskutek takiego podejścia, rodem z Żeromskiego, nastąpiła wzajemna akceptacja i miłość. Dużo się nauczyłam od tych ludzi.

— **Czego?**

— Nie mając nic, potrafią się dzielić z innymi. Pamiętam takie zdarzenie. To był październik, lał deszcz, ciężko pracowałam. Musiałam posadzić drzewka w ogrodzie otaczającym pensjonat, bo już dłużej nie mogły czekać. Pomagała mi Ewka Pawlak, moja prawa ręka, ochmi-strzyni, jak potem o niej mówiłam. Obie byłyśmy przemęczone do suchej nitki, głodne, zmęczone. Przyszła matka Ewki. Podała mi parujący garnek z ziemniaczanymi gołąbkami, taką tutaj biedą-potrąwą. A wiem, że sama była bardzo biedna,

nie miała. „Pani Małgosiu, pani musi coś zjeść” — tak mnie tym ujęła, że poryczałam się nad talerzem. Na taki gest nie byłoby stać wielu bogatszych ludzi.

Mieszkańcy tych terenów nawzajem się dobrze rozumieją, nawet klótnie ich trzymają w kupie. Jak w „Kornielce”: Ja jestem tutejszy. Jeżeli życie mnie tu rzuciło, jestem tu i już.



— **Kto przyjeżdżał do Waszego ośrodka?**

— Byli to ludzie, którzy mieli niesamowite wykształcenie, pensje i posady, a u nas odregowrywali warszawski stres wielkim zbydłęcieniem. Było to dla mnie nie do zaakceptowania. Wysłałam z porządnego domu, byłam nauczona kindersztuby. Może los specjalnie wziął mnie za fraki i zabrał mnie stamtąd?

— **Pani ośrodek zbankrutował?**

— To była czysta ekonomia. Bankructwo przecięło moje więzi z Mazurami. Sprawilo też, że mój mąż, który zainwestował w to miejsce cały dorobek życia, pozostał bez grosza. Nie upadł na kolana, bo ma naturę wojownika. Westchnął głęboko i powiedział: No tak, ale trzeba żyć dalej. Zabrał się za odbudowę firmy, po to, by mieć na czynsz, na jedzenie. I udało się mu.

— **A Pani?**

— Jak w tym przysłowiu: co cię nie zabije, to cię wzmocni. Patrzyłam na niego, brałam z niego przykład. Córka i syn dzwonili do mnie. Dzięki ich trosce nie wpadłam w depresję.

— **Książka była wyładowaniem emocji?**

— Tak, podobnie jak w dzieciństwie pisanie pamiętnika, do czego namówiła mnie mama. W pewnym momencie podczas pobytu na Mazurach pomyślałam: Boże, jak chciałabym przeczytać książkę, taką... jakiej nie mam na półce. Postanowiłam więc ją napisać. Miały to być takie „Dzieci z Bullerbyn” dla dorosłych. „Dzieci z Bullerbyn” była to moja ulubiona książka w dzieciństwie. Pocięła mnie, gdy

było mi źle. „Dom nad rozlewiskiem” miał być powieścią, która miała mnie dotulić.

— **I udało się.**

— Moja córka powiedziała: Mamo, skoro ta książka ci pomogła, może pomoże innym kobietom, i namówiła mnie na wysłanie wydruków do wydawnictw. Przed świętami Bożego Narodzenia, gdy wydawnictwa są zawalone takimi rękopisami, los się do mnie uśmiechnął. Właściciel wydawnictwa Zysk, idąc korytarzem, zobaczył na biurku jednej z redakterek moje grubaśne skoroszyty, po 300 stron każdy. Przekartkował, zobaczył, że brzmi to autentycznie. Wziął do domu i zamiast świętować, czytał. Powiedział mi potem, że jest to powieść wykrzyczana, choć ma spokojną narrację. To wykrzyczenie odnosi się do prawdy, która jest tam zawarta.

— **Muszę o to Panią zapytać, ile jest prawdy, ile fikcji w tej powieści?**

— Miesza się jedno z drugim, chociaż nikt z mojej rodziny, ani córka, ani mąż nie są podobni do powieściowych postaci. Mało tego, ze swoimi dziećmi zawsze żyłam w wielkiej przyjaźni. Kiedy moja córka i syn dorastali, poświęciłam sporo czasu, by nie mówić do nich, ale

rozmawiać z nimi. Jedno z moich największych osiągnięć to przyjaźń z córką. Zaczęło się od typowych relacji maceczki z dzieckiem i przez lata się zmieniało. Teraz moja córka ma 30 lat, ja prawie 52 lata i dyskutujemy ze sobą, pomagamy sobie, jesteśmy partnerkami w przyjaźni.

— **Może dlatego w książce zabrakło emocji przy spotkaniu córki z matką po wielu latach od rozstania?**

— Niektórzy zarzucają mi właśnie, że przebiegło to zbyt łagodnie. Wzorowałam się tu na mojej mamie. Ona nigdy nie dramatyzowała. Gdy mój ojciec spotkał się po latach nieporozumień z dziadkami, moja mama powiedziała: Siadajmy, zaparzę herbatę. Żadnego mielenia przeszłości, żalu. Najwyżej wieczorem, w spokoju coś sobie wyjaśniali. Pomyślałam, że jeśli to tak napiszę, może będzie to przykład do naśladowania. Równie spokojnie rozstają się Konrad z Małgosią. Może ktoś, kto przeczyta książkę, powie: Rozstał się z klasą, bez wojen, tak jak w „Domu nad rozlewiskiem”.

— **A kto z Bud trafił do powieści?**

— Ewka Pawlak, moja prawa ręka, jest powieściową El-

ONI ZAGRAJĄ W SERIALU

W maju telewizja Polsat rozpoczyna zdjęcia do serialu „Dom nad rozlewiskiem” według książki Małgorzaty Kalicińskiej. Ujęcia będą kręcone w Warszawie, potem na Warmii i Mazurach, m.in. w Pasymiu, w Tuławkach, w Olsztynie. Polsat ma zamiar wyemitować serial jesienią. Jedną z aktorek Edyta Olszówka, gdy usłyszała propozycję zagrania roli Małgosi, wykrzyknęła: To jestem ja. W filmie zagrają też aktorzy z olsztyńskiego Teatru im. S. Jaracza.



Fot. Polsat, serial „Samo życie”

Edyta Olszówka
Małgosia



Fot. Polsat, serial „Rodzina zastępcza”

Hanna Śleszyńska
Kaśka



Fot. Polsat, serial „Pensjonat pod Różą”

Małgorzata Braunek
Basia, mama Małgosi



Fot. Internet/Film polski

Bartłomiej Topa
Konrad



Fot. Internet/Film polski

Bronisław Wrocławski
prezes



Fot. Internet/Film polski

Krzysztof Jasiński (Teatr Stu)
Tomasz

wirą, sklepową. Krewka kobieta, która ma nieulożone życie. W książce dałam jej Andrzeja i w powieści jest szczęśliwa. Wysłałam jej książkę z dedykacją. Potem powiedziała, że gdy ją czytała, miała wrażenie, że siedzę obok i opowiadałam różne historie.

— **Kto jeszcze był postacią prawdziwą?**

— Opisałam historię mężczyzny, który się powiesił przy samej drodze na wysokim drzewie. Był to zaprzyjaźniony z nami pracownik z Urzędu Gminy w Dźwierzutach. Miotał się, aż życie tak podeszło mu do gardła, że nie wytrzymał. Powiesił się w białej kamizelce, na najwyższym drzewie. Myślał, że szybko będzie znaleziony. Tak się nie stało. Były wielkie upały, spadł z tego drzewa i dopiero po roku przypadkowy przechodzień natknął się na zwłoki. Identyfikacja była możliwa dopiero w specjalistycznym laboratorium w Warszawie.

— **To straszna historia, która wydawała się wymyślona... W powieści jest jednak więcej pogodnych momentów i widać, że Pani umie cieszyć się życiem.**

— Ale na Mazurach wielokrotnie dopadały mnie stesy. Wtedy szłam do kuchni i pi-

trasila. Mieliliśmy wspaniałego kucharza — Jacka, Ślązaka ożenionego z Mazurką. Odnaleźliśmy się jak dwie szkapę w jednym zaprzęgu. Wspieraliśmy się w kuchni, uczyliśmy się od siebie. Gdy zakładałam biały fartuch i w milczeniu kroilał, Jacek mówił: „Szefowa coś zdenerwowana, przyszła gotować”. A ja przy gotowaniu bardzo się odstresowywałam.

— **Przepisy, które trafiły do książki, wzięła Pani z tamtej kuchni?**

— Przerabiałam je po swojemu. Staralam się uratować zwłaszcza bieda-potrawy. Ziemniaczane gołąbki czy kiszka są w Warszawie zupełnie nieznanne. Gdy podaję znajomym kiszkę z patelni z surówką, jest wielkie zdziwienie.

— **A co Pani zabrała ze sobą z Mazur do Łomianek, które teraz są Pani domem?**

— Mam w pamięci krzyk żurawi o czwartej nad ranem. I wzięłam zdjęcie, które dostałam od Ewki, a które wisiało w mojej restauracji. To ślubna fotografia: w środku pani w średnim wieku, po bokach dwaj mężczyźni. Gdy tej kobiecie zmarł najukochańszy mąż, za namową rodziny ugięła

się i wyszła drugi raz za mąż. Gdy i ten — którego też pokochała wielką miłością — zmarł, kazała fotografowi zrobić nietypowe ślubne zdjęcie, które jest tak piękne jak ta historia miłosna.

— **Czy ta opowieść trafi do Pani kolejnej książki?**

— Być może. Teraz muszę sobie odpowiedzieć na pytanie: Małgoska, czy ty umiesz pisać, czy to tylko Ci wyszło przypadkiem? Muszę to sprawdzić, bo jeszcze

nie miałam na to czasu. Teraz żyję z pisania, a więc zarabiam pieniądze na tym, co najbardziej lubię robić. Gdy ostatnio jeden z wydawców zamówił u mnie opowiadanie do zbioru „Wakacyjna miłość”, usiadłam i napisałam 29 stron. Gdy skończyłam, poczułam się jakbym wróciła z sanatorium.

Co o tym myślisz?

www.gazetaolsztynska.pl

Małgorzata Kalicińska o Warmii i Mazurach

- W Olsztynie najbardziej lubiłam ulicę Mrogowiusza i Dąbrowszczaków, gdzie chodziłam z zadartą głową i podziwiałam kamienice. Były takie klimatyczne.
- Stare meble kupowałam w Olszynie w stodole pana Rząpa, który prowadził „klinikę” staroci. Wyposażałam nimi swoją restaurację.
- W Szczytnie chodziłam na bazarek i do ciucholandów. Lubiłam robić wypad w stronę Kurpi. W niedzielę oglądałam Kurpianki, które szły w ludowych strojach do kościoła.
- Zachwyciłam się Reszlem, który mógłby być drugim Kazimierzem nad Wisłą. Byłoby pięknie, gdyby ściągali tam artyści, prowadzili knajpki, malowali obrazy. To perełka, którą można byłoby promować w całej Europie.
- Czytałam „Gazetę Olsztyńską”, bo mieszkając na Mazurach, trzeba kupować miejscową prasę. Chciałam wiedzieć, czym żyją ludzie tam, na miejscu. Dlatego „Gazeta” pojawia się też w powieści.